

ROMAN INGARDEN WE WSPOMNIENIACH

JANINA MAKOTA

Profesorowi Romanowi Ingardenowi zawdzięczam prawie wszystko, co umiem z filozofii. Oczywiście o filozofii słyszałam już coś przed zapisaniem się na studia: tyle, żeby się nią zaciekać. Ale dopiero wykłady Ingardena uświadomiły mi wagę poszczególnych zagadnień i nasze możliwości poznawcze. Dały także do ręki metodę badań, a fenomenologia dążąca do poznania istoty rzeczy bardzo mi odpowiada. Cenię u Ingardena ciągle nawracanie do rzeczywistości. To filozof, który nigdy nie pogrążył się w jałowe spekulacje i przestrzegał przed tym swych uczniów. A zbudowany przez Mistrza wspaniały gmach ontologii stanowi bezcenne narzędzie do prac badawczych. Ilekroć później czytałam prace różnych filozofów, nie mogłam się oprzeć próbie ujmowania ich poglądów w ramy możliwości, zaczerpnięte z ontologii Ingardena.

Jeśli chodzi o spojrzenie na całą historię filozofii, Ingarden podkreślał konieczność ujmowania jej problemowo. Chciał w niej widzieć opis rozwoju poszczególnych problemów, a nie poszatkowaną relację o poszczególnych filozofach, ważnych i mniej ważnych. Jako historyka filozofii polecał m.in. W. Windelbanda.

Osobno, wdzięczna jestem Ingardenowi za całą jego estetykę, która zresztą zdobyła najszerze uznanie także poza kręgiem filozofów.

Wykłady Ingardena były bardzo ciekawe, nie tylko ze względu na swą treść, ale także przez sposób ich wygłaszania. Ingarden miał miły, męski tembr głosu, a jego wypowiedzi charakteryzowały się wyrazistą melodią zdaniową. Nie było w tym nic sztucznego, tylko naturalny sposób mówienia człowieka, który ma coś do powiedzenia i chce to swoim słuchaczom przekazać. To, co mówił, nie było wyuczonym tekstem, ale żywym opisem przedstawianego przedmiotu. Mistrz na żywo wywoływał w swojej i naszej wyobraźni przedstawiany fragment czy aspekt rzeczywistości. Twierdził też, że musi widzieć reakcję słuchaczy, odczytywaną z ich twarzy i nie może wyklądać, gdy przypadkiem zgaśnie światło (o takiej porze dnia, gdy jest ono konieczne). Żywy tok wykładu ułatwiał słuchanie. Nie miałam nigdy trudności z utrzymaniem uwagi w napięciu.

Aby uniknąć abstrakcyjnych wywodów, gdzie było to możliwe, Ingarden posługiwał się konkretnymi przykładami. Jednym z nich była czerwona kula, na której wykazywał, że jednocie czerwona barwa jej powierzchni spostrzegamy poprzez wyglądy, obejmujące wiele odcieni różu, białe odbłyśki światła itp. Inny przykład to parasol starego profesora (fikcyjnego). Z tym parasolem wciąż się coś dzieje, a to łamie się rączka, a to druty itd. Profesor bardzo boi się żony, więc w tajemnicy poleca naprawiać kolejne uszkodzenia. W końcu wszystko zostaje wymienione. Pytanie: czy jest to wciąż jeszcze ten sam parasol? Od zabawnego parasola trzeba było oczywiście przejść do tożsamości człowieka w czasie.

Mistrz podkreślał konieczność ustawicznego trzymania się rzeczywistości, w przeciwieństwie do filozofów ograniczających się do badania znaczenia pojęć. Gdy pojechał do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie tamtejszych ośrodków uniwersyteckich, ktoś z gospodarzy zapytał go, czy przedmiotem rozważań będzie

pojęcie czasu. Profesor sprostował: będziemy mówić o s a m y m c z a s i e, nie o pojęciu czasu. O delikatności uczuć Mistrza świadczy fakt, że udał się do Stanów okrętem, gdyż towarzysząca mu małżonka bała się samolotu.

Gdy trzeba było analizować pojęcia, zwłaszcza całe ich klasy, narosłe w ciągu historii filozofii, czynił to znakomicie. Przykład: uchwycił aż dziwięc par pojęć formy i materii, z czego przyjął jedną parę (tę w sensie formalnej ontologii), aby się już jej w całym filozofowaniu trzymać (forma – to, co radykalnie niejakościowe; materia – to, co jakościowe jako wypełnianie formy). Kładł nacisk na konieczność uzyskiwania intuicyjnego wglądu w przedmiot na każdym etapie jego badań. Toteż nie dowierzał logistycznym operacjom dokonywanym na samych symbolach.

Zachęcał studentów do czytania prac filozofów w językach oryginalnych, wspominał, że warunkiem dostania się na seminarium u profesora K. Twardowskiego we Lwowie była znajomość pięciu języków obcych: niemieckiego, francuskiego, angielskiego oraz greki i łaciny.

Wykłady dotyczące języka obejmowały wiele zagadnień. Jednym z ciekawszych było zwrócenie uwagi na rolę ludzkiego doświadczenia przy tworzeniu nazw. W polskim słowie “wąż” zachowało się ujęcie zwierzęcia jako czegoś wąskiego; natomiast w łacińskim wyrazie “sarpens” wyraziło się dostrzeżenie ruchu węża, który się wiję. Wiąże się z tym trudność tłumaczenia tekstów, zwłaszcza poezji, w której ogromną rolę – poza znaczeniami – odgrywają także brzmienia słów. Przykład: słowo “Tod” w języku niemieckim ma samogłoskę “o”, brzmiącą głęboko i poważnie. Polski odpowiednik “śmierć” w samym brzmieniu niczego podobnego nie ujawnia. I tu Profesor deklamował wiersz R.M. Rilkego, który zapamiętałam:

Gross ist der Tod,
Wir sind die seinen
Lachenden Munds.
Wenn wir uns mitten
Im Leben meinen,
Wagt er zu weinen
Mitten in uns.

Jakież byłby to pasjonujący temat: badać nazwy tych samych przedmiotów w różnych językach – jako odzwierciedlające sposób doświadczenia rzeczywistości przez różne ludy.

Profesor był bardzo obowiązkowy, nie było mowy o opuszczeniu wykładu bez istotnej przyczyny. Zajęcia odbywały się zawsze w sobotę (w tych czasach nikomu się o wolnych sobotach nie śniło). Pewnego razu Profesor wracał z Warszawy nocnym pociągiem, a rano przyszedł na wykład. Ktoś go zapytał, czy nie czuje się zmęczony. Profesor odpowiedział: ja jestem stary, więc już się nie męczę.

Poczucie humoru nieraz dawało znać o sobie. Któregoś dnia dwie studentki (chyba z psychologii) nie przyszły na seminarium. Profesor się gniewał. Ktoś powiedział, że one musiały wyjechać. Profesor zagniewany: “Ja też tak chciałbym!” Ktoś dopowiedział: “Ale one pojechały do Kobierzyna” (zapewne odbywało się tam coś związanego z psychiatrią). Te słowa rozbroiły Profesora, zaśmiał się i powiedział: “O nie, tam nie chcę jechać!”

Poza tym, co konieczne, Ingarden każdemu studentowi dawał inne lektury do przeczytania. Twierdził, że studia to nie musztra żołnierska, gdzie każdy musi się uczyć tego samego.

Gdy Profesora o coś poproszono, a on mógł i chciał to zrobić, odpowiadał dziarsko: “Rozkaz!”.

Miał swoje sympatie i antypatie filozoficzne. Cenił Arystotelesa, Kartezjusza, Hume’a, Brentanę, oczywiście także swego mistrza Husserla, któremu wszakże nie uległ w sporze o idealizm/realizm. Nie cierpiał neopozytywizmu i “jeżył się”, gdy trzeba było coś o tym kierunku powiedzieć.

Pewnego razu był Ingarden w Niemczech, gdzie w rozmowie z tamtejszym profesorem (nazwiska nie pamiętam, ale może był to np. Müller) wspominał o krakowskim profesorze psychologii, Władysławie Heinrichu. Na to Müller zawołał: “Co,

Heinrich jeszcze żyje?”. Po powrocie do kraju Ingarden rozmawiał z profesorem Heinrichem i wspominał, że widział się w Niemczech z Müllerem. Na to Heinrich: “Co, Müller jeszcze żyje?”.

Z opowiadań Profesora i z tego, co sami czytaliśmy z dzieł Husserla, stało się dla nas jasne, że Husserl i Ingarden to dwie bardzo różne osobowości: Ingarden systematycznie i dokładnie – poprzez dogłębne analizy – zamierzający do celu, Husserl – wciąż zaczynający wszystko od nowa, mający niemałe trudności ze zredagowaniem swych prac (pomagała mu w tym jego asystentka, Edith Stein). Ingarden pewne rzeczy przejął od Husserla, np. metodę fenomenologiczną, zainteresowanie świadomością itp., ale - twardo stąpając po ziemi – nie poddał się ułudzie idealizmu, poglądu będącego ostatnim słowem Husserla.

Makota Janina: eik@iphils.uj.edu.pl